

# Nadieżda Firkowicz

---

## Jakub Bezdziety

---

Awazymyz : pismo historyczno-społeczno-kulturalne Karaimów nr 1(5), 9-11

---

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

późnej starości. Ciocię Donię bardzo kochałam również, była dobra, lecz zbyt duża dzieliła ją odległość od nas wszystkich, zbyt różne były nasze w Trokach i Cioci Doni w Warszawie bieżące przeżycia i serdeczność Cioci Doni



wyrażała się też w sposób odmienny. Jednak Ciocia Donia żywiła wiele ciepłych, rodzinnych uczuć do rodziny z Ojczystych Trok, w miarę możliwości utrzymywała kontakt korespondencyjny, a dla mnie zawsze była mniej zrozumiałą, lecz drogą i bliską sercu Ciocią. I chociaż Cioci Doni życie, być może, było mniej problemowe niż Cioć na Karaimszczyźnie, tym niemniej ciężkie wojenne przeżycia osłabiły zdrowie Cioci Doni, która przedwcześnie zmarła u córki Ireny w Sopocie, gdzie też jest pochowana. Ciocia Donia, którą w dzieciństwie nazwałam "Złotą Ciocią", nigdy nie straci miejsca w moim sercu.

Cześć pamięci dla wszystkich moich ukochanych Cioć !!!

Niech im ziemia trocka i sopocka lekką będzie !!!

Helena z Bezekowiczów Pilecka  
(Gdańsk)

## Jakub Bezdziety

Trzymam w rękach dwie olbrzymie płachty papieru: 500 i 100 carskich, przedrewolucyjnych rosyjskich rubli. Zastanawiam się, jak duże musiały być w owych czasach portmonetki, aby zmieścić w sobie i nie pognieść tak wielkich banknotów. Patrzę na piękne, bardzo precyzyjnie wykonane podobizny rosyjskich carów oraz na barokowe ornamenty, zdobiące brzegi banknotów i staram się odgadnąć do kogo należały te pieniądze, czy zdołały dać komuś szczęście, czy wręcz przeciwnie, stały się powodem czyjś zbrodni, czyjś śmierci. I nagle przypomina mi się mój pradziadek i jego smutna historia, która nie tylko położyła kres jego życiu, lecz zmieniła los całej jego rodziny, z moim włączenie.

Mój pradziadek nazywał się Jakub Solomonowicz Kisir. Był Karaimem. Urodził się w 1863 roku. Całe życie mieszkał w Chersonie, w miasteczku na południu Ukrainy.

Nazwisko Kisir (Ki-syr) po karaimsku oznacza bezdziety. Ale pradziadek tym się nie przejmował i moja prababcia regularnie co dwa lata wydawała na świat kolejnego potomka Bezdzietygo Jakuba. Oboje pracowali zawzięcie przez 16 lat, aż w 1905 roku urodziła się moja babcia i dopiero wtedy produkcja dzieciactwów dobiegła końca.

Często się zastanawiam, jak wyglądał mój pradziadek. Jako prawdziwy religijny Karaim, trzymał się z dala od fotografa. Flesz oświecił go przypadkiem tylko jeden jedyny raz, na pogrzebie jego brata. Zdjęcie owe, naklejone na gruby karton, nieostre z żółtymi plamami czasu, oglądałam już setki razy. Na pierwszym planie rozkopany głęboki

grób, w którym można zauważyć skrawek trumny. Kilkunastu mężczyzn stoi dookoła jamy. Pierwszy z lewa, mój pradziadek. Faktycznie widać tylko sylwetkę. Niski, szczipły pan w meloniku z laską. Twarz zginęła w cieniu smutku i tylko czarne wypięgnięte wąsy zawadiacko sterczą po obu stronach policzków. Pradziadek stoi wyprostowany, napięty z lekka pochyloną głową. O czym wtedy myślał? Pewnie o tym, jak uratować honor zmarłego.

Brat mojego pradziadka był bardzo przystojnym, lekkomyślnym awanturnikiem. Wybrał karierę wojskową. Ubrany w mundur rosyjskiego oficera, bezlitośnie łamał serca młodych pańienek, zupełnie tym się nie przejmując. Pił, palił, hucznie trwoniał swoje życie. Kochał hazard. Całe noce spędzał przy zielonym stoliku. Był niewolnikiem hazardu. Na początku wygrywał, miał passę, lecz potem Fortuna odwróciła się od niego. Jedna przegrana gonila drugą, aż wreszcie przegrał wszystko. Narobił okropnych długów i kiedy zrozumiał, że prawie każdy mieszkaniec Chersonu jest jego wierzycielem, zastrzelił się. Imię jego miała pokryć hańba i wieczne potępienie.

Naturalnie, mój pradziadek nie mógł do tego dopuścić. Jak tylko zasypało grób, pradziadek ogłosił zebrany, że oto on, Jakub Kisir zapłaci długi swojego brata, co do ostatniej kopiejki. Wielka radość ogarnęła wierzycieli. Przed chwilą razem z pięknym młodzieńcem pochowali wszelkie nadzieje na zwrot długów, a tu... Uśmiech zagnieździł się w twarzach obecnych. Pradziadek ogarnął ich posępnym spojrzeniem i nie odwracając się poszedł w kierunku bramy cmentarnej. A tamci jeszcze przez jakiś czas stali nad świeżym grobem uśmiechając się od ucha do ucha i gratulując jeden drugiemu.

Prababcia dowiedziała się o decyzji męża od sąsiadek. Jakub nie był przyzwyczajony radzić się kobiet. Ach, to karaïmskie wychowanie! Oczywiście, nie była zadowolona, lecz jestem pewna, że nie nic nie powiedziała, nie zrobiła żadnego wyrzutu, nie zdradziła swojej irytacji żadnym krzywym spojrzeniem. Po prostu przyjęła do wiadomości, podporządkowała się. Decyzja głowy rodziny w tamtych czasach była jedynym przykazaniem, rzeczą bezwarunkowo słuszną, bezdyskusyjną. Karaïmskie kobiety wiedziały o

tym od samego urodzenia.

Więc zaczęli spłacać ten cholerny dług. Pradziadek miał maleńki zakład kapelusznicy, który nawet nieźle prosperował. Pradziadek był dyrektorem, projektantem, zaopatrzeniowcem i księgowym. Prababcia główną szwaczką i za razem kierowniczką działu handlowego. A dziecięca menażeria, w zależności od wieku i płci, pomocą przy szyciu lub sprzedaży. I tak to się kręciło.

Pradziadek często podróżował po imperium Rosyjskim, również bywał za granicą. Zwiedził Persję. Miał tam swojego dostawcę specjalnych monetek, z których siostry mojej babci robiły wymyślne wzory na fese<sup>1</sup> dla karaïmskich kobiet. Kilka razy był w Warszawie, Berlinie, Paryżu. Pilnie śledził najnowocześniejsze trendy mody kapeluszonej. Łatwo nawiązywał kontakty.

Nie miał kłopotów z porozumieniem się, znał języki wszystkich krajów, w których bywał. Również znał język hebrajski, język Pisma Świętego. Co wieczór czytał Torę, bo powiedziano, iż każdy Karaïm musi sam czytać Pismo Święte i go rozumieć. Wspólnota karaïmska kilka razy proponowała mu objęcie miejsca hazzana w Chersońskiej kienasie, lecz on odmawiał. Może nie czuł się godny? Albo lubił swoje kapelusze bardziej, niż odprawianie nabożeństw w świątyni?

Tak, kapelusze to była jego pasja. Jakimś cudem trzy z nich przeżyły rewolucję, wojny, przeprowadzki i spoczęło w dolnej szufladzie garderoby, która stoi w dużym pokoju w domu mojej mamy. Pamiętam, jak będąc małą dziewczynką odnalazłam ten ukryty skarb. Mierzyłam przed lustrem trzy pachnące naftaliną kapelusze i nie mogłam wybrać, który najbardziej mi się podoba – kochałam wszystkie. Więc włożyłam trzy naraz i... zrozumiałam, że właśnie tak jest najlepiej. W tym samym dniu dokonałam jeszcze jednego, nie mniej pięknego odkrycia. Odnalazłam kartonowe pudełko w całości wypełnione strusimi piórami! O, Boże! Co to była za frajda! Zupełnie nie przeskadzało mi, że piórka były mocno pogryzione przez mole, że niektóre rozpadały się w rękach, a inne były złamane. Dla mnie były bajecznie piękne. Kolorowe, długie, tajemnicze. Powtykałam ich w swoje ubranie. Byłam wniebowzięta. Kiedy moja mamuśka ujrzała swoją małą córeczkę w trzech kapeluszach na głowie, całą w strusich piórach,

<sup>1</sup> Kobiectwo wschodnie tradycyjne nakrycie

<sup>2</sup> Potrawa z kawaleczków mięsa zapieczonego w cieście

to osłupiała z wrażeń. Później mówiła, że wyglądałam wtedy, jak zwiariowany oskubany kurczak, lecz myślę, że już nigdy i w żadnym ubraniu nie będę wyglądać tak zadziwiająco pięknie.

Ale zбочyłam z tematu. Interes kapeluszuwowy mimo wysiłków pradiadka i całej rodzinki ledwie tlił pod presją długów. Minęło ponad dziesięć lat, aż pewnego dnia pradiadek kazał żonie ugotować w środku tygodnia uroczysty obiad.. Prababcia była nieco zdziwiona, lecz bez słowa wykonała polecenie. Przyrządziła *kubete*<sup>2</sup> z młodej baraninki, z kredensu wydostała najlepszą zastawę, dzieciom kazała założyć świąteczne ubranka i nawet sama z lekką przypudrowała noskę. Pan domu przyszedł na obiad punktualnie o godzinie drugiej po południu. Dał znak i wszyscy usiedli do stołu. – Postaw nalewkę – poprosił żonę. Prababcia zupełnie zdezorientowana, wydostała z kredensu wiśniówkę. – Daj również kieliszki dla Marka, Jakuba Rai i Ester – ciągnął mąż. Prababcia pewnie po raz pierwszy w życiu, za nim wykonała polecenie, zapytała: Jak to, chcesz, aby dzieci też wypili z nami? – Kobieto, - powiedział pradiadek bez irytacji w głosie – rób to, co ci każą, zaraz wszystko wyjaśnię. Prababcia trochę się uspokoila i rozlała nalewkę do kieliszków. Pradiadek poczekał, jak usiądzie na swoje miejsce, a potem wstał, podniósł wysoko kieliszek i powiedział: Dzisiaj spłaciłem ostatni dług mojego brata. Niech spoczywa w pokoju.... Jego słowa powoli krążyły w gorącym powietrzu. Aż nagle odbity się w oczach domowników, które to oczy natychmiast zaiskrzyły tak wielką radością, że cały majestat towarzyszący za zwyczaj rodzinnemu obiadowi prysnął. Prababcia zakrzyczała (czego do tej pory nie robiła nigdy, nawet przy porodzie jej babci, który ponoć był bardzo ciężkim): Jakubie, jesteście wolni! Dzieci zerwały się ze swoich miejsc i rzuciły obejmować i całować tatusia (co było absolutnie wykluczone, póki sam ojciec nie pozwalał im na to). Ale w tym dniu, pod czas tego obiadu wszystko było dozwolone. Pradiadek ze łzami w oczach całował wszystkich po kolei i bez kolei, nawet prababcia otrzymała całuska w policzek, co było już zupełnym ewenementem. Przecież przy dzieciach okazanie czułości między rodzicami było wykluczone – w ten sposób dbano o ich morale. Wydaje mi się, że pamiętam ten dzień. Może to pamięć genów, kto wie. Ależ to było szczęście! Najlepszy dzień w mojej rodzinie w roku 1915.

Następny rok minął w bajecznym uniesieniu dobrze prosperującego biznesu. Pradiadek podpisał kontrakt z jakimś producentem w Paryżu. Jego kapelusznymi zainteresował się ekskluzywny sklep w Moskwie. Wszystkie dzieci chlubiły się nowymi ubrankami. A jedna z siostr mojej babci, rezolutna Bekiesz, została wysłana do Petersburga, do Imperatorskiego Baletu! Prababcia też sprawiła sobie piękne kreację i może, po raz pierwszy w życiu poważnie zainteresowała się modą. Interes rósł jak na drożdżach. Pradiadek kupił wielki sklep w centrum Chersonu. Podobno był tak duży, że można było do niego wjechać dorożką!

Dochody rosły. Złote carskie „świnki” radośnie pobrzękiwały w głębokich kieszeniach marynarki Jakuba, lecz swoim ciężarem niszczyły je niemilosiernie. Prababcia stale musiała je cerować. Nie jestem w stanie powiedzieć, dlaczego pradiadek z uporem maniaka, nosił cały ciężar swojego bogactwa ze sobą. Nie wierzył bankom? Nie chciał zostawić w domu? Nie wiem o co mu chodziło. Ale w styczniu 1916 roku nagle wymienił wszystkie „świnki” na papierowe ruble. Właśnie takie, które teraz mam przed oczyma. Prababci powiedział, że znudziło mu się nosić ciągle ciężary. Była to najgorsza decyzja w jego życiu, o czym przekonała się bardzo szybko.

Niebawem wybuchła rewolucja lutowa. Pradiadek z przerażeniem obserwował, jak z dnia na dzień wielcy carowie rosyjscy (nie tylko ci ówczesni, lecz i ci na banknotach) stracili swoją władzę i siłę. Pewnie z rozpaczy zjadł swój melonik i powydzieriał wąsy, lecz to mało pomogło. Wtedy krew go zalała. Dostał rozległego wylewu i odszedł z tego świata, pozostawiając rodzinę pod opieką prababci, która miała przeprowadzić ją przez zawieruchę rewolucji, okrucieństwa wojny domowej, głód, tyfus i nędzę. Ale to już zupełnie inna historia.

Często zastanawiam się, co by było, gdyby pradiadek nie wymienił „świnek” na ruble? Czy zdołałby uciec z rodziną za granicę? Czy może zostałby rozstrzelany przez czerwonych razem z rodziną, jako burżuj krwiopijca? Ale wtedy mógłby nie być moim pradiadkiem, a ja bym nie mogła opowiedzieć o nim tej smutnej historii.

Warszawa, maj 2001

Nadieżda Firkowicz